Nr. 105. Lwów — Środa dnia 9 Maja. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięcznie złr. 1·13 | Półrocznie złr. [illegible] Kwartalnie „ 3·— | Rocznie „ 13 [illegible]

[illegible]

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
[illegible] 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
[illegible] wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
[illegible] . . . 20 „
[illegible] . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO [illegible]" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Grzegorza | Symeona
Jutro: św. Izydora Or. | Jasona Arch.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 35
Zachód „ „ 7 „ 19

Długość dnia g. 14 m. 44
Przybyło dnia od wczoraj 4 m

Przegląd polityczny.

Lwów 8 maja.

Od czasu ustąpienia nestora z pomiędzy europejskich mężów stanu, Gladstone'a, najstarszym kierującym ministrem jest obecnie Francesco Crispi. Ten Sycylijczyk w podeszłym wieku (75 lat) zachował w sobie w pełni młodzieńczą werwę i pozostał mistrzem w sztuce „strzelania" płomienistemi słowy do serca współbraci. Nasze przekonania katolickie i konserwatywne stawiają nas w obec Crispiego w trudnem położeniu. To wszystko, co w nim przypomina dawnego wroga Stolicy Apostolskiej i przeciwnika wszelkich ustępstw, któreby jej zabezpieczały nietylko pozorną, lecz rzeczywistą niepodległość, oczywiście obudza wstręt nasz, często oburzenie. Na odwrót trudno odmówić Crispiemu świadectwa, że z genialną wytrwałością i energią broni międzynarodowej pozycyi swego kraju i narodu. Na pozór niepodległość Stolicy Apostolskiej i królestwo włoskie nawzajem się wykluczają. Kto zatem pragnie pierwszej, powinien zasadniczo ganić usiłowania utrzymania drugiego *et vice versa.* Ta logika jednak jest tylko pozorna. Można owszem byt wielkiego, samodzielnego królestwa włoskiego uważać jako bardzo pomyślny i pożądany czynnik ustroju międzynarodowego, a jednak pragnąć przywrócenia zupełnej niepodległości Stolicy Apostolskiej, tudzież uważać tę restytucyę jako możliwą, mianowicie na drodze uczciwego porozumienia się dynastyi włoskiej z Papieżem. Tak też na tę kwestyę zapatrują się ci katolicy, którzy nie życzą sobie z *politycznych* powodów rozpadnięcia się królestwa włoskiego, gdy przeciwnie właśnie tej ostatniej ewentualności pragną z politycznych względów takie żywioły (francuskie, rosyjskie), które zresztą nie mogą być wcale pożądane o szczerą sympatyę dla Stolicy Apostolskiej.

Po tem ogólnem zastrzeżeniu, możemy bez ogródki zaznaczyć, że także w ostatnich rozprawach na Monte Citorio o budżecie, Crispi w sposób równie zręczny, jak skuteczny, wywiązał się ze swego zadania. Właściwym jądrem wszystkich tych rozpraw jest kwestya utrzymania, albo też zmniejszenia wojska włoskiego. Półurzędowe dzienniki berlińskie i wiedeńskie wytykają to Crispiemu jako błąd, że z takim uporem, pomimo opłakanego stanu finansów, obstaje przy dotychczasowym etacie wojskowym i zwalcza wszelką redukcyę korpusów; prasa francuska i rosyjska oskarża go wprost, że jest autorem bankructwa Włoch. Podobne zachowanie się organów wiedeńskich i berlińskich można nazwać zręczną taktyką, obliczoną głównie na to, aby radykalnej opozycyi włoskiej wytrącić główną broń z ręki i przekonać Włochów, że mocarstwa sprzymierzone wcale nie zmuszają Włoch do utrzymania tak znacznego wojska. Głosy zaś prasy francuskiej i rosyjskiej zdradzają tylko nieustannie w naiwny sposób wielkie oburzenie, że dotąd nie udało się ubezwładnić na polu militarnem Włoch, które w danych stosunkach rzeczywiście tworzą wskazówkę u wagi europejskiej. Gdyby bowiem Francyi i Rosyi udało się przeciągnąć Włochy na swoją stronę, albo choćby tylko rozbroić Włochy, natenczas szanse ligi francusko-rosyjskiej w wojnie z Austryą i Niemcami znacznieby się polepszyły. Słusznie ocenić Crispiego można tylko ze stanowiska interesu królestwa włoskiego. Z tego punktu widzenia ostatni jego występ niewątpliwie był, jak mówią Francuzi, *un coup de maître.*

Mianowicie wygłosił on zdanie, którego wprawdzie depesze nie podały rozstawionemi czcionkami i nad którem dotąd, o ile wiemy, nie zastanawiają się dzienniki, które jednak samo jedno powinno było wystarczyć za cały szereg najbardziej przekonywujących argumentów. Zdanie to brzmi: „Włochy po rozbrojeniu się, w chwili zatargu europejskiego, jak dawniej, zapłaciłyby koszta zwycięzcy." Jak dawniej! Powiadają, że z historyi nikt się niczego nie nauczył, ale posłom włoskim owe jedno zdanie ministra musiało błyskawicznym blaskiem rozjaśnić całe długie dzieje półwyspu apenińskiego, — owe wieki, w których tworzył on jedynie „pojęcie geograficzne", w których nietylko bezpośredni sąsiedzi, cesarzowie niemieccy, królowie francuscy i hiszpańscy po kolei z ciała narodu włoskiego wykrawywali sobie szmaty, ale nawet wojna, toczona w najodleglejszych stronach Eu-py, ostatecznie zwykle kończyła się „odszkodowaniem" stron walczących to Neapolem, to Toskanią, to Parmą, to Wenecyą! N. p. pomiędzy Francyą, Austryą etc. wybucha wojna niby to o sukcesye w Polsce (1733—1738). Wojna toczy się głównie sławnymi marszami i kontrmarszami nad Renem, kończy się zaś na tem, że Stanisław Leszczyński otrzymuje Lotaryngię pod warunkiem, że po jego śmierci to księstwo będzie połączone z francuskiem państwem jego zięcia Ludwika XV, natomiast książę Franciszek Lotaryński, zięć cesarza Karola VI, w zamian swego księstwa, otrzymuje Toskanię, która odtąd staje się posiadłością domu cesarskiego. Oto jeden z licznych przykładów, jak nietylko zwycięzcy, ale nawet obie strony walczące wynagradzały się — kosztem Włoch.

Dwa przedewszystkiem kraje od wieków były w podobny sposób wystawione na pożądliwość obcych: **Polska i Włochy.** Tylko, że względem Polski powtarzające się nieustannie kombinacye podziałowe pozostały projektem aż do r. 1772, tj. dopóki się nie wzmogła na siłach Moskwa, gdy Włochy przez pięć wieków doznawały bez przerwy na swem ciele narodowem tych podziałowych wiwisekcyi. Z tego powodu rozpacz wtrząsała strunami uroczystej harfy Danta. Ta sama rozpacz pobudziła Macchiavella do wymyślenia ideału choćby zbrodniarza-władzcy, byle żelazną ręką obronił Włochy od tej równie pogardliwej, jak chciwej pożądliwości obcych. *Vestigia terrent!* Jeżeli codzienne, płytkie kłótnie i ambicyjki parlamentarne i szachrajstwa giełdowe nie wyziębiły do reszty miłości ojczyzny w sercach wybrańców ludu na Monte Citorio, to powinno było wystarczyć przypomnienie tej smutnej i upokarzającej przeszłości, aby im uprzytomnić tę prawdę: że naród, który chce być wolnym i niepodległym, nie powinien szczędzić ostatniego grosza na wojsko; że polegać wyłącznie na sojuszach, znaczy wyrzekać się pewnej części niepodległości, i że tylko silni i zdecydowani poświęcić w swej obronie krew i mienie, zawsze znajdują szczerych sprzymierzeńców.

Z tego względu niemal epiczna walka Crispiego o utrzymanie zbrojnej siły Włoch zasługuje niewątpliwie na gorącą sympatyę. Mniejsza o to, jak na te kwestye zapatrują się fanatyczni teoretycy wiecznego pokoju, których nie brak także w parlamencie włoskim i w których imieniu świeżo znany Pandolfi zaproponował — rozbrojenie. I mniejsza o skrupuły specyalistów finansowych, wykazujących cyframi niedorzeczność kroćiowych stałych armii. Naród, który przez wieki był igraszką sąsiadów i przed którym także obecnie zawsze stoi ponura kwestya: „Być albo nie być", stałby się niegodnym sympatyi, postradałby wszelki szacunek, gdyby oszczędzać zaczął od budżetu wojny. W sejmie berlińskim i w delegacyi austryacko-węgierskiej każde nowe wydatki na wojsko bardzo słusznie rządy uzasadniają argumentem, że sprzymierzeńców znajduje ten tylko, który wytęża wszystkie siły na własne uzbrojenie i zabezpieczenie. Argument ten miałżeby się nie stosować do Włoch? Tam pokolenie dzisiejsze miałożby się wzdrygać przed ofiarami własnemi i przed ewentualnem obciążeniem nawet przyszłych pokoleń, gdy tego wymaga bezpieczeństwo i niepodległość narodu? Czyżby tam należało zachować zbytek tuzinkowych wszechnic, prefektur i synekur, a odmawiać ofiar na wojsko? Doradzać tego mogą Włochom tylko przeciwnicy, czyhający na zgubę kraju, jak niegdyś u nas podburzali sejmy do odmawiania kredytów na wojsko, aż wreszcie wprost rozbroili Polskę, wyznaczając jej śmieszne maximum stałego wojska. I nam wystarcza przypomnąć sobie własne, smutne dzieje i te złowrogie błędy, które streszczają słowa: *„propter vitam vivendi perdere causas"* *) aby żywo odczuć całą przekonywającą potęgę owego odwołania się Crispiego do przeszłości swego narodu!

KORESPONDENCYE.

Rzym w maju.

Od kilku już lat nie pamiętają Rzymu tak ożywionego, jak w obecnej, wiosennej porze. Wprawdzie ogólne położenie finansowe Włoch się nie polepszyło, owszem, wykazy dochodów skarbu świadczą o znacznym upadku bogactwa krajowego; ale na ulicach Rzymu tego nie znać. Z powodu bardzo znacznego napływu cudzoziemców, w mieście pełno gwaru i ruchu wielkomiejskiego, przypominającego paryskie bulwary. Zresztą wszyscy tutaj przewidują rychły koniec finansowej z Francyą wojny, w czem jedynie Włochy zbawienie widzieć mogą, bo ona jedna zdolną jest dźwignąć finanse tutejsze z opłakanego stanu, skoro Niemcy aż nadto obojętnie, czy też wstrzemięźliwie przypatrywały się krachowi finansowemu swego sojusznika. Prowadzą się nawet, jak się dowiadują, wstępne, poufne i jak dotychczas całkiem prywatnego charakteru próby porozumienia z Francyą w przedmiocie traktatu handlowego, co też zapewne, w razie dojścia do skutku ugody, doprowadzić mogłoby, po upływie terminu potrójnego przymierza, do odsunięcia się Włoch od Niemiec i Austryi.

W parlamencie toczy się tymczasem walka między rządem a izbą o sposób, w jaki niedobór budżetowy stu milionów lir ma być zażegnany i na czem zrobić oszczędności? Boć opozycya radaby skreślić przedewszystkiem część budżetu wojennego i marynarki na rok 1894/5.

A tymczasem — Rzym się bawi! Po cichym, smutnym karnawale, po świętach Wielkanocy, miasto ożywiło się nadzwyczajnie. Przyczynia się do tego sezon bardzo licznie uczęszczanych wyścigów na torze delle Cappanelle za Porta St. Giovanni. Wprawdzie deszcz popsuł kilka dni sportowych, ale za to Derby reale (24.000 lirów) udało się doskonale i to przy udziale całego dworu i tutejszych kół arystokratycznych, z całą ową pompą, z jaką Włosi lubią występować.

Dlatego Rzym jest dzisiaj może najhałaśliwszem miastem w Europie. Boć już sami Włosi wystarczają, aby ogłuszyć (gwar i krzyk — jak wiadomo — trwają tutaj na ulicach od wczesnego rana do północy), a tu świeżo bawiło jeszcze około siedmiu tysięcy Hiszpanów — a i ci są także synami gorącego południa. Można sobie tedy wyobrazić, jakie ożywienie po trattoriach i winiarniach wieczorem, jak Hiszpani dużo gadali i gestykulowali, jak im się Włosi ciekawie przypatrywali i jak się bratali w imię jedności szczepu łacińskiego, nb., kiedy chcieli co utargować. Hiszpanie ci przybyli, jako druga partya pielgrzymów, na uroczystość beatyfikacyi błogosławionych: Jana z Awili i Diego z Kadyksu. Przyjechali z Grenady i Bajadozu — i od Gwadalkwiwiru i ci z Toledo—i z Catalonii i z Guipazcoi i ci z Andaluzyi i z wysp Filipińskich i z Kuby, przeważnie chłopi i robotnicy, kuso, czarno od stóp do głów ubrani, z charakterystycznem obwiązaniem głowy chustką, wyglądającą z pod czarnego *beretto.* Malowniczych ubiorów włościańskich było mało, z wyjątkiem kilkunastu Katalończyków, bardzo oryginalnie, prawie po teatralnemu, ubranych, ale ani śladu owych *picadores, toreros,* których znamy... ze sceny.

Rzym pośpieszył naturalnie z ubraniem się w hiszpańskie napisy; nawet ci, którym niewsmak idzie tryumf Watykanu i hołdy oddawane Papieżowi, czule ku sobie przyciągali i nawoływali tłumy ogorzałych czarnych Hiszpanów, spacerujących naokoło sklepów i kawiarń. „Se habla espanol!" (Tu mówi się po hiszpańsku) — powywieszano czempręd]ej na wystawach, a przekupnie uliczni, ta plaga Włoch, sprzedający albumy, fotografie, różańce, — wreszcie dorożkarze, gonili ich krzykami: „Caballero! senor!" — tak, jak na innych turystów wołają: „Signore!" albo „Eccelenza!"

Nie tak mile przyjęły pielgrzymów liberalne organa rządowe. Jeden z tych dzienników ironicznie porównywał ich ze stadami kóz, przeciągających wczesnym rankiem przez boczne ulice wiecznego miasta; przypomniał, że są karlistami; w ogóle nie szczędził złośliwych przycinków, zwłaszcza, że się spodziewano gorących demonstracyi na rzecz papiestwa. I tak się rzeczywiście stało. Pielgrzymi krzyczeli na całe gardło na audyencyach: „Viva il Papa rey!" W ogóle jednak porządek publiczny nie został zakłócony.

Hiszpanie przybyli tutaj pod przewodnictwem arcybiskupa Sewilli, kardynała Sanz y Fores, oraz margrabiego de Comillas, wybitnej osobistości z obozu katolickiego hiszpańskiego, którego głową jest rzeczywiście — Don Carlos. Margrabia Klaudyusz Lopez y Bru de Comillas słynie jako jeden z najbogatszych ludzi w Hiszpanii, posiada plantacye i fabryki tytoniu na wyspach Filipińskich i na brzegach Afryki, nadto stoi na czele kompanii parowców transatlantyckich, więc je oddał bezpłatnie na przewóz pielgrzymów.

Na szczęście obeszło się tym razem bez demonstracyi „antyklerykalnych", boć pojedynczych wybryków, skierowanych przeciwko tej uroczystości, za demonstracyę uważać nie można. Ale nie zapomniano tu jeszcze nieporządków i bójek, jakie wywołała pielgrzymka francuska w r. 1891, w październiku. Znalazły się tylko podczas uroczystości dni ostatnich, trzy, czy cztery indywidua, które, otrzymawszy wstęp do kościoła św. Piotra, wśród okrzyków Hiszpanów na cześć Leona XIII, krzyknęły: „Viva il re Umberto! Viva la massoneria!" Zaraz też żandarmi papiescy wyprowadzili demonstrantów z kościoła, poczem już dalsze ceremonie kościelne spokojnie się odbyły.

Błogosławiony obecnie Jan z Awili był świeckim księdzem z dyecezyi Toledo, spowiednikiem św. Teresy; umarł w r. 1569.

Drugi błogosławiony, O. Diego z Kadyksu, urodził się w roku 1743, został kapucynem, kaznodzieją, umarł w roku 1801. Obaj słynęli z nauki, wielkiej pobożności i cudów.

Interesującą jest okoliczność, że na uroczystości beatyfikacyi O. Diega z Kadyksu, obecną była Siostra miłosierdzia z Sewilli, która dzięki przyczynie nowego świętego, z zupełnej niemocy uzdrowioną została. — Siostra Adelajda, przed trzydziestu laty uzdrowiona, dzisiaj jest szarytką i przyjęta była przez Ojca św. na specyalnej audyencyi.

W wilię przyjęcia pielgrzymów odbyła się w kościele św. Piotra uroczystość beatyfikacyi, z rozwinięciem całego przepychu, jakim Watykan w murach kościoła rozporządza. Po południu Ojciec św. zszedł do świątyni, niesiony na „sedia gestatoria", z dworem swoim, wśród tłumu 50-tysięcznego, z pokojów Watykanu przez cały kościół, aż do ołtarza katedry, aby uczcić nowego świętego. Potem nastąpiło przyjęcie pielgrzymki.

Wspaniale wygląda a wewnątrz bazylika watykańska, w oświetleniu tysiąca świateł, z absydą udekorowaną w ponsowe i złote obicia. Msza papieska odbyła się tym razem nie w kaplicy, gdzie ongi sobór się odbywał, ani nie nad grobem św. Piotra, ale przy wielkim ołtarzu, w obecności wszystkich tutejszych ambasadorów i kardynałów, między którymi dostrzegłem JE. kardynałów Ledóchowskiego i Dunajewskiego i w osobnej trybunie księżnę Frydrykową Karolową pruską. Nad ołtarzem zawieszono obraz, przedstawiający O. Diego w chwale niebieskiej, a po bokach — obrazy, przedstawiające cuda, jakie dały powód do beatyfikacyi i sprawdzone zostały przez św. kongregacyę obrządków.

O w pół do dziesiątej rano, Leon XIII przyjęty przez kapitułę watykańską, otoczony gwardyą, szwajcarami i dworem, wniesiony został na „sedii" wśród nieustających okrzyków tych tłumów, jakie znalazły pomieszczenie w kolosalnej świątyni, błogosławiąc im na prawo i lewo tą chudą i przezroczystą ręką, która zdradza już sama podeszłe lata Ojca św. Potem odprawił cichą Mszę, a po niej wysłuchał drugiej Mszy dziękczynnej i pobłogosławił naród. Następnie kardynał Sanz Fores przedstawił Papieżowi hołdy pielgrzymów hiszpańskich, na co odpowiedział w imieniu Papieża monsignor Mery del Val, syn tutejszego posła hiszpańskiego przy Stolicy św., czytając przemowę Ojca św., w której Leon XIII streścił głównie to, co w znakomitej encyklice swojej „Novarum rerum" już powiedział o kwestyi socyalnej i o robotnikach, — o tem, co jeden z tutejszych dzienników papieskich, redagowany dzisiaj specyalnie w połowie po hiszpańsku nazywa „La salvacion de la Sociedat" (Zbawienie społeczeństwa.) I znowu, wśród potężnych okrzyków, wrócił Ojciec św. do kaplicy św. Sakramentu, poczem o godzinie 11. uroczystość się skończyła.

Trzeba było widzieć plac św Piotra w chwili rozejścia się pielgrzymki. Jak czarne mrowisko, tak z wysokości schodów świątyni przedstawił się ten wspaniały rynek, przypominający teraz najpiękniejsze dni starego Rzymu, wśród kolumnad Berniniego, z ruchem pojazdów, w oświetleniu ciepłego słońca południa.

Bawi obecnie we Włoszech kilka wybitnych członków domów panujących.

Przebywa w Rzymie, jak powiedzieliśmy, księżna Fryderykowa Karolowa pruska, o której krążą pogłoski, że chce przyjąć wiarę katolicką. Jest następca tronu japońskiego, ks. Komatsu, zwiedzający fabryki broni i porty wojenne; w Neapolu bawi arcyksiężna Stefania, podróżująca pod nazwiskiem hrabiny Deppau; jest księżna Meklemburska i t. d.

Bardzo pochlebiło Włochom entuzyastyczne przyjęcie, jakiego doznał „Falstaff" i jego twórca J. Verdi, w Paryżu, boć Verdi jest chlubą narodową. Z Kolonii donoszą tutaj o wielkiem powodzeniu, jakie spotkało operę „A basso porto" Mikołaja Spinellego, a tymczasem w tutejszym teatrze Costanzi dają codziennie „Manon Lescaut" Masseneta, panią Bendazzi-Garulli i z tenorem Garulliim w głównych rolach.

Przed kilku dniami zakończył tutaj kongres rolniczy swoje posiedzenia. I tutaj także własność ziemska, większa i mniejsza, upada, skutkiem braku taniego kredytu i spadku cen zboża. Po długich dyskusyach zapadło postanowienie zorganizowania się rolników w małe prowincyonalne kółka rolnicze, które mają znaleść drogi taniego kredytu i podnieść wykształcenie specyalne ziemian.

Wybory w Bochni.

Otrzymujemy następujące pismo:

Dokonany na dniu dzisiejszym wybór posła do Rady państwa z większej własności okręgu Bochnia-Brzesko-Wieliczka, wypadł ujemnie dla kandydata przez komitet centralny przedwyborczy poleconego.

Rezultat ten wyboru dotknął nas bardzo boleśnie, gdyż nie wchodząc tu w ocenę osobistej wartości obu kandydatów, wyrażamy stanowcze przekonanie, iż kategoryczne, na jednomyślności głosów oparte polecenie komitetu centralnego, winno być decydującem, zwłaszcza przy wyborach z większej własności, która stopniem inteligencyi, narodową tradycyą i dobrze pojętym patryotyzmem przewodnie w kraju zajmuje stanowisko. Wyborcy z okręgu Bochnia-Brzesko-Wieliczka powinni byli zrozumieć, że uszanowanie uchwały ko-

*) Dla życia przegrać sprawy życia.

---

33)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

Ludwik milczał. Zdawało się, jak gdyby poczuwał się do winy.

— Ot, załatwmy krótko — rzekł hrabia. — Ja nie jestem od morałów, a ty miałbyś prawo mnie z nimi za drzwi wyrzucić... Powiem ci tylko jedno: Jeżeli masz tak mordować dalej tę biedną kobietę, to rozstańcie się lepiej. Sposób-to praktykowany i uczciwszy. Byli Czajscy bziki, waryaci, faryaci, ale nie było łotrów.

Tego było zanadto dla Ludwika.

— Ha! — zawołał, hamując gniew. — Dziwią mnie twe słowa... Mówisz o uczciwości... Nie wiem, który z nas... Wszak ja cię uprzedzałem, ja ci mówiłem, jakie być może nasze małżeństwo... Stało się, czegoś żądał.

Hrabia załamał ręce.

— Nieszczęśliwcze! I ty, ty atleto fizyczny, nie masz odrobiny siły moralnej, by zapanować nad ogarniającą cię fiksacyą?

Ludwik silił się na obojętność.

— Widocznie nie mam tej siły — odrzekł sucho.

Przeszedł się parę razy po pokoju i zaraz potem, jakby całkiem już inny, wesoły, spokojny, zagadnął:

— No, chodźmy. Mariola zdrowa? I twój synowiec także?

Ruszył pierwszy ku wyjściu.

Za nim posunął się hrabia z rozpaczą w duszy. Pozycya wydała mu się teraz straszną i tylko w tym pałacu, jakby w przybytku nieszczęść, wynikających z mózgów w bezładzie, możliwą.

VI.

Bolesława Czaplę niezmiernie zdziwiło zaproszenie barona.

— Oho! — pomyślał — dowiedziała się, że często bywam w Czajnikach i pozazdrościła. Te kobiety!

Postanowił więc zaraz wybrać się do Werbkowic, co mu tem więcej było na rękę, że Czajscy po urodzeniu się małego Artura jeszcze nie przyjmowali.

Uczynił też to niebawem i pewnego wieczora o zmierzchu zajechał pod peron modnego pałacyku Jadolińskich. Zastał tam licznie zgromadzone towarzystwo z bliższej i dalszej okolicy.

Pani Walerya powitała go z radością, jakiej z jej strony nigdy sobie nie przypominał. To zadowolnienie pięknej jeszcze kobiety pochlebiało mu bardzo. Czyby pragnęła, aby zastąpił przy niej Czajskiego? czy też tylko nudziła się na wsi i pragnęła gromadzić w swym domu jak najwięcej sąsiadów?

Coś zawsze w tem było i pan Bolesław Czapla, stający się bardzo śmiałym, nie wątpił, że tego wieczoru jeszcze odgadnie tajemnicę zmienionego raptownie usposobienia pani Waleryi. A to usposobienie tem więcej go zastanawiało, że w swoim czasie zaprzestał przecież bywać w Werbkowicach jedynie z tej przyczyny, że mu pani domu wyraźnie niechęć okazywała.

Rozglądał się około siebie i starał się wywnioskować, jaka atmosfera panowała w pałacu, który w okolicy uważano za barometr światowości i szyku. Pani Walerya była wprawdzie ponętną, ale Czapla bądź co bądź wolałby zająć miejsce szczęśliwego Ludwika w Czajnikach niż w Werbkowicach. Pani Mariola bardzo mu przypadła do gustu. Nie dlatego, żeby miała być piękniejszą od pani Waleryi, i nie dlatego, żeby jej względy więcej schlebiały jego próżności; ale, ale...

Pan Bolesław nie lubił kobiet zbyt eleganckich i wyrafinowanych. Jakoś lepiej się rozumiał z hrabiną niż z baronową. Ta ostatnia zanadto była dla niego sprytną i dowcipną, przytem nie znosił jej drwiącego, wciąż na ustach igrającego uśmiechu. On cenił w kobietach przedewszystkiem łagodność i dobroć. Uważał, iż nie potrzebuje bystrości pani Waleryi, ani też jej badawczej przenikliwości, użytecznej sędziom śledczym, recenzentom i policyi.

Jeżeli mu się pani Walerya, jako sąsiadka (bo z tego stanowiska patrzał na kobiety), dotąd jeszcze podobała, to po poznaniu cichej, uśmiechniętej i bardzo grzecznej pani Czajskiej, straciła w jego oczach niezmiernie.

Podczas świetnego obiadu, który prawie zaraz po jego przybyciu podano, bawił się porównywaniem obu interesujących go kobiet. I teraz jak i codzień prawie w ostatnich czasach myślał, iż nie byłoby zbrodnią dojść w Czajnikach do stanowiska, jakie Ludwik przez lat tyle zajmował w Werbkowicach. Jeśli baron znosił Ludwika, nie widział racyi, by hrabia nie miał znosić Bolesława? Zresztą pani Mariola nie robiła mu wrażenia szczęśliwej żony i nie mogła nią być. Czapla lubił Ludwika, jako sąsiada i towarzysza, ale nie widział w nim warunków nieodzownych, według niego, na dobrego męża. Niedość zajmował się żoną, opuszczał ją, a często i zasmucał. Nieraz Czapla zastawał hrabinę samą. Jakże była mu wtedy rada, jakże po staropolsku gościnna, a naturalnie i miła, istna przylepka. Jeśli dotąd, mimo starań, nie zdołał zawiązać romansu w sąsiedztwie, co zawsze było jego marzeniem, to teraz, jak mu się zdawało, znajduje się u wrót tego raju.

Po obiedzie baronowa podeszła ku niemu i zagadnęła go z czarującym uśmiechem na ustach:

— Dawno nie widziałam pana...od lat dwóch, gdy we Lwowie musiałam pana ściągać z ulicy. Zanadto pan się bałamucisz, zanadto.

Czapla, który pasyami lubiał być i zapraszany i podejrzywany, próbował niby zapierać się, ale pani Jadolińska twierdziła filuternie:

— Wiem, co pana powoduje do zapominania o dawnej i starej sąsiadce. O! wiem... ale przecież można jedno z drugiem pogodzić. Szczególniej łatwo takiemu, jak pan, biegłemu astronomowi hołdować nowym gwiazdom, a przytem oddawać cześć należną i tym, które błyszczeć przestały...

Pan Bolesław miał minę wielce uradowaną. Zwykle baronowa onieśmielała go swym tonem wielkoświatowym i wyrażeniami, nad których ukrytą myślą zastanawiać się musiał. Tym razem odgadł odrazu, co znaczyły owe gwiazdy i jego zdolności astronomiczne.

Pani Walerya starała się widocznie oczarować go dzisiaj.

— Wiem... wiem, — mówiła, — że wolałbyś pan, by na mojem miejscu w tej chwili stanęła prawdziwa i najświeższa róża wołyńska, ale znam pana, jako prawdziwego amatora kwiatów, tego motyla nad motylami, który *à défaut de rose,* zajmie się i georginią... Usiądźmy tutaj, wypalimy po papierosie i pogadamy...

Podała Czapli długi papieros, okręcony w słomę i szczebiotała dalej.

— A więc kochany panie Bolesławie, czy ci się hrabina Czajska podoba? czy się kochasz w niej, jak mówią w okolicy?

— Ależ doprawdy, jakieś plotki...

— Nie wypieraj się pan. „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi". Pański sukces znany jest nawet po za stepami Czajnik. Ot! Lepiej weź mnie pan za powiernicę swych trosk, a dam ci nieocenione rady. Posłużą panu wybornie do prędszego podbicia serca kobiety, *„par force"* wydanej za człowieka, który zresztą wdzięczny będzie każdemu, kto go uwolni od ciężaru nudzącej się żony.

Trzeba oddać słuszność Czapli, że niezupełnie dowierzał słodkim pokusom pani Waleryi. Ale schlebiały mu jej propozycye, zwłaszcza, że ziarno, przez nią rzucane, padało na grunt, nieźle już przygotowany. Nie przyznawał się do niczego, nie potakiwał, słuchał jednak z wielką przyjemnością słów zachęty, udzielonej mu przez baronowę.

Zauważyła to pani Walerya i ciągnęła dalej:

— Ja już skończyłam karyerę. Nie uwierzysz pan, jaką pomocą mogą być dla młodego człowieka wskazówki takiej starej baby, która lubiła się podobać i podobała się! Zresztą robię tu *un acte de bienfaisance...* Przecież trzeba osłodzić życie tej nieszczęśliwej istocie, rzuconej na pastwę człowiekowi... najpoczciwszemu, ale niestworzonemu do małżeństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

mitetu centralnego, będącego wynikiem woli Sejmu, jest pierwszym obowiązkiem dobrego obywatela. Nie kto inny bowiem, jak tylko komitet centralny, znając dokładnie potrzeby kraju i ludzi, godnych należycie sprostać ważnym obowiązkom posła, jest jedynie powołanym do stawiania i zatwierdzania kandydatów. Jeżeli większość wyborców obowiązku tego nie zrozumiała, lub — co gorsza — zrozumiawszy, nie spełniła, to krok ten sam w sobie jest pożałowania godny, a jako przykład niekarności dla przyszłości naszej w niebezpieczeństwa brzemienny.

Tak pojmując nasze zadanie, głosowaliśmy za kandydatem komitetu centralnego, a znalazłszy się w mniejszości, uważamy za nasz obowiązek zaznaczyć publicznie, iż do winy za dokonany wybór się nie poczuwamy, ani odpowiedzialności za takowy wobec kraju, brać nie chcemy.

Bochnia dnia 4 maja 1894.

Maryan Dydyński, Józef Bieliński, Karol Czecz, Józef Grodzicki, Stanisław Homolacs, Stanisław Żeleński, Edmund Jastrzębski, Stanisław Mars, Jan Stadnicki, Michał hr. Roztworowski, Jan Radomyski, Stanisław Konopka, Adam Fink, Kazimierz Żeleński, Stanisław Lgocki, dr. Kajetan baron Horoch, Jan Kępiński, Władysław Stapa, Jan Kochanowski, Józef Rogosz, Ignacy Ostrzeszewicz, Adolf Lgocki, dr. Zygmunt hr. Lasocki, Zygmunt Elterlein, Karol Stonawski, St. Larysz Niedzielski, Henryk Turnau, Teodor Rayski, Antoni Popiel, Franciszek Przychocki, Adam Bzowski.

* * *

W tej sprawie otrzymujemy nadto następujący list: Szanowna Redakcyo! W artykule *Przeglądu* nr. 103 z dnia 6 Maja b. r., zarzuca Szanowna Redakcya wyborcom większej własności z powiatów Bochnia, Wieliczka, Brzesko zerwanie solidarności wśród obywatelstwa, naruszenie powagi centralnego Komitetu przedwyborczego, naruszenie powagi Sejmu a jako zapowiedź przyszłości, w perspektywie rozprzężenie akcyi wyborczej.

Zarzuty są zbyt obciążające i jednostronnie wypowiedziane, bo pomijając ocenę osobistości obydwóch Szanownych kandydatów p. Zdzisława Włodka i p. dr. Józefa Milewskiego, ośmielam się zapytać Szanowną Redakcyę co rozumie właściwie pod solidarnością wśród obywatelstwa, kiedy w tym wypadku istnieć nie mogła, gdyż od pierwszej chwili stanęły dwie kandydatury a Komitet centralny przedwyborczy zamiast zwołać w Bochni, w Wieliczce i Busku zebrania przedwyborcze, o których nawet nie słyszeliśmy i podać w każdym powiecie obydwóch kandydatów do próbnego głosowania a potem poddać wynik takowych do decyzyi delegatom z każdego powiatu, nagle bez zwołania zgromadzeń przedwyborczych, wybrał według swojej woli delegatów? Ci większością głosów, a nie jednomyślnie, jak w artykule powyższym przedstawia Szanowna Redakcya przedstawili na kandydata na posła do Rady państwa z większej posiadłości powiatów Bochnia — Wieliczka — Brzesko tylko p. Dr. Milewskiego. Jeżeli więc Komitet centralny przedwyborczy bez zasięgnięcia opinii wyborców co do obydwóch kandydatur, postanawia ze swej strony kandydata a ostateczny wynik wyborców nie odpowiada zamiarom komitetu centralnego ośmielam się zapytać Szanowną Redakcyę, kto temu winien i kto naruszył powagę Komitetu centralnego?

Bo jeżeliby w ten sposób przedstawiony przez Komitet centralny kandydat, musiał być wybranym przez wyborców, to zupełnie jest zbyteczną wydana ustawa wyborcza, zresztą na co trudzić władze rządowe rozpisywaniem wyborów, wydawaniem legitymacyi i zachowaniem wszelkich formalności a wyborców odrywać od zajęć gospodarczych, lepiej w takim razie zostawić wybór posła Komitetowi centralnemu a wyborcom oszczędzić roli lalek kiwających głowami za pociągnięciem sprężyny.

Szanować powagę Komitetu centralnego uważam w naszym kraju za konieczne, lecz z drugiej strony i wyborcy mają prawo wymagać, by o nich *już zupełnie bez nich nie decydowano.*

Euzebiusz Dolina Głębocki właściciel dóbr Filipowiec powiat Brzesko.

Dopisek Redakcyi. Zamieszczamy ten głos wyborcy z okręgu Bochnia-Wieliczka-Brzesko, nie mając możności skonstatowania o ile zarzuty poczynione w nim komitetowi centralnemu są słuszne, bo nie wiemy czy przy wyborach bocheńskich trzymał się komitet ściśle regulaminu wyborczego. Sądzimy jednak, że prezes komitetu nie pozostawi pisma p. Głębockiego bez odpowiedzi i wyjaśnienia, a jeżeli w postępowaniu komitetu centralnego zaszła rzeczywiście jaka nieprawidłowość, to z otwartością, właściwą ludziom honoru, do niej się przyzna. Bo lepiej byłoby dla kraju, gdyby się okazało, iż p. Chrzanowski popełnił coś błędnego, aniżeli żeby zostało wrażenie, iż można dowolnie deptać Komitet Centralny. Powracając jednak jeszcze do listu p. Głębockiego, pozwolimy sobie zrobić uwagę, że wyborcy z okręgu bocheńsko-wielicko-brzeskiego w tym razie oprócz przez nich obranej mieli jeszcze inną drogę: jeżeli zauważyli jakiś mylny krok ze strony Komitetu Centralnego, zwrócić jego uwagę na to, porozumieć się, wytłumaczyć, wreszcie przebaczyć, a wtedy nie naruszyliby powagi Komitetu i zarazem posłowi swemu nie stworzyliby tak trudnego stanowiska, jakie musi mieć teraz. Zresztą trzeba było z góry przewidzieć jaki fatalny efekt sprawi w całym kraju to podeptanie Komitetu Centralnego. Szczegóły wyborów i ewentualne błędy Komitetu nie będą nigdy znane dokładnie całemu krajowi, ale to, że można Komitet lekceważyć, że najoświeceńsza warstwa w narodzie nie słucha jego wskazówek, to wie już dzisiaj nietylko kraj cały, ale cała Polska.

Polemika.

Podaliśmy już w naszem piśmie artykuł *Gazety lwowskiej*, wymierzony przeciw posłowi Piętakowi za jego krytykę naszych szkół, wypowiedzianą w Radzie Państwa. Podajemy dziś odpowiedź dra Piętaka. Opiewa ona jak następuje:

„Słowa moje nie spotkały się w parlamencie z podobnym, jak w *Gazecie lwowskiej*, wyrzutem, ale bo reprezentanci centralnej władzy szkolnej raczyli bez drażliwości wysłuchać całego mego przemówienia, a gdyby autor pomienionego artykułu tak samo był mniej drażliwym i spokojnie był przeczytał przemówienie moje aż do końca, byłby zapewne nie silił się na podsuwanie słowom moim zupełnie mi obcych intencyi i wstrzymał się od podżegającej przeciwko mnie konkluzyi, że słowa moje zawierają potępienie młodzieży, nauczycieli i władz szkolnych. Albowiem z mojego przemówienia byłby się dowiedział, że co do nauczycieli szkół średnich skonstatowałem z zadowolnieniem, że ogół tych nauczycieli posiada zupełnie poprawne naukowe wykształcenie i że niemało jest między nimi takich, którzy osiągają wyższy stopień takiego wykształcenia i żwawo pracują nad własnym i ogólnym postępem.

„W przemówieniu mojem wyraziłem dalej moje do pewnego stopnia zadowolnienie z rozporządzeń ministeryalnych z lat 1891 i 1892, które wprowadziły pewne zmiany w planie i metodzie nauczania, a nawet złożyłem gorące władzy centralnej podziękowanie za to wszystko dobre i pożyteczne, co w ostatnich latach dla szkolnictwa naszego zdziałała. O młodzieży powiedziałem to właśnie, czego chce *Gazeta lwowska*, że jest taką, jak społeczeństwo, wśród którego wyrosła. Gdzież więc w tych słowach potępienie nauczycieli, władz szkolnych lub młodzieży? Nie w tych też czynnikach szkoły szukałem przyczyny niedostatecznego przygotowania abituryentów gimnazyalnych do studyów uniwersyteckich, lecz w tych niepomyślnych stosunkach, wśród których szkoły nasze średnie działać są zniewolone ze szkodą dla postępu w naukach.

„Do nich zaś zaliczyłem, mówiąc jeno o niektórych, zmateryalizowanie dzisiejszego społeczeństwa, które udziela się także młodzieży szkolnej; przepełnienie szkół średnich, które czyni niemożliwem zastosowanie metody nauczania do indywidualności każdego ucznia; plan naukowy w gimnazyach, przeciążający niepotrzebnie dwustopniowością nauki; a wreszcie brak pedagogicznego i dydaktycznego wykształcenia u kandydatów nauczycielskich. [illegible] w Radzie szkolnej krajowej. Toż nie gdzie indziej, jak w ostatniem sprawozdaniu Rady szkolnej krajowej spotkać się można z narzekaniem na przepełnienie szkół średnich i z żądaniem ograniczenia ich liczby; w temże samem sprawozdaniu znachodzi się utyskiwanie na to, że w gimnazyach naszych uczy aż 168 suplentów niekwalifikowanych; nie kto inny, jak Rada szkolna krajowa uznała to, że kandydatom nauczycielskim brakuje pedagogicznego i dydaktycznego wykształcenia, skoro w sprawie tej zwołała konferencyę dyrektorów i wprowadziła na próbę rok pedagogiczny w Krakowie.

„Z artykułu *Gazety Lwowskiej* widocznem jest także [illegible], że wszystko, co w ostatnich trzech latach uczyniono dla poprawy nauki w szkołach naszych, jest po nad wszelką wątpliwość doskonałem, a oraz tak wszechmocnem, iż od razu, tak z dnia na dzień, wydało już pożądane owoce. Podobne zdanie należy co najmniej do dziedziny krewkiej fantazyi. Kto patrzy trzeźwo, ten przyzna, że o owocach tych ulepszeń, które wprowadzono w ostatnich czterech latach, a które sięgają do najniższych klas gimnazyalnych, będzie można mówić dopiero w pierwszych latach wieku przyszłego, dziś ich nikt nie dostrzeże i ja ich dostrzedz nie mogłem, gdy mówiłem w roku 1894.

„Autora artykułu pozwalam sobie zapewnić, że wrażenia moje indywidualne chowam dla siebie, lub dla moich najbliższych, ale przekonania moje w sprawach ważnych wypowiadam śmiało i otwarcie tam, gdzie uważam za stosowne i potrzebne, bez względu na to, czy to się komu podoba. Mam zaś pretensyę do zabierania głosu w sprawach szkolnych, bo mam za sobą ćwierć wieku własnej na tem polu pracy. A gdy zdanie moje wypowiedziałem po sumiennej rozwadze i w uczciwych zamiarach, można mi stanowczo odeprzeć wszelkie dworowanie i insynuacye, wymierzone do mnie z trójnoga urzędowego."

KRONIKA.

Lwów 8 maja.

Pani Namiestnikowa wyjechała na kilka tygodni do Buska.

Sankcyę monarszą otrzymał uchwalony przez galicyjski Sejm projekt ustawy o pobieraniu kopytkowego w gminach miejskich: Brzeżany, Kołomyja, Przemyśl, Rzeszów, Stanisławów, Tarnopol i Żółkiew.

Odznaczenie. Cesarz zezwolił podkomorzemu Stanisławowi Bogdanowiczowi, we Lwowie, przyjąć i nosić honorowy krzyż kawalerski udzielnego zakonu Joanitów.

Mianowania. Ministeryum handlu zamianowało: Franciszka Raschka w Podwołoczyskach, Włodzimierza Sierackiego, Jana Schmidta, Aug. Fritzego i Leona Lechickiego, kontrolorami pocztowymi we Lwowie; Gustawa Brasona kasyerem dyrekcyjnej kasy pocztowej we Lwowie, Ferdynanda Ferentza w Przemyślu, kontrolorem pocztowym w Rzeszowie, Emiliana Matkowskiego w Kołomyi, kontrolorem tamecznej kasy pocztowej.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. dyecezya przemyska: Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Antoni Mokrzycki na Cywków w pow. cieszanowskim, Włodzimierz Ryniawiec na Liskowate w pow. dobromilskim.

Zmiana własności. Gmina Wisłok wielki w powiecie sanockim, kupiła od p. Wiktora obszar dworski Wisłok wielki, obejmujący 2.400 morgów ziemi, tartak, młyn, dwie karczmy i dworskie zabudowania.

Ossolineum. Dyrekcya zakładu narodow. im. Ossolińskich zawiadamia, że od dnia 10 bm. to jest od czwartku, biura biblioteczne i pracownia naukowa, będą na nowo dla publiczności otwarte w godzinach urzędowych, a mianowicie od godziny 9—2 po południu.

Prywatne egzamina nauczycielek robót ręcznych kobiecych rozpoczną się w c. k. seminaryum nauczycielskiem żeńskiem we Lwowie we czwartek 28 czerwca r. b.

Wybryki w kościele. W sobotę w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, zaszła przykra scena. Kilku młodych ludzi, obecnych na nabożeństwie, zachowywało się tak nieprzyzwoicie, iż kaznodzieja z ambony musiał ich skarcić. Chcąc się zemścić za skarcenie, porozrzucali ci młodzieńcy po [illegible]

Z powodu wielkiej rozległości świątyni, nie łatwo było pochwycić bezpośrednich sprawców, dlatego też do tej pory nie dokonano żadnych aresztowań.

Z dyrekcyi kolei państwowych. Godziny urzędowe w biurze informacyjnem we Lwowie (ulica Trzeciego maja l. 3, hotel Imperial) będą trwały w czasie od 15 maja do 15 października 1894 r. od 8 rano do 1 po południu i od 3 do 7 po południu, zaś w niedziele i dnie świąteczne od godz. 9 rano do 1 w południe.

Ze stowarzyszeń. Zgromadzenie członków Towarzystwa „Kuchni ludowej" odbędzie się w sobotę dnia 12 maja b. r. o godz. 5 po południu w pomieszkaniu prezesowej p. Mochnackiej.

Dostawa mostów żelaznych. Dyrekcya kolei państwowych we Lwowie ogłasza w *Gazecie Lwowskiej* i *Wiener Zeitung* konkurs na dostawę konstrukcyi żelaznej dla 10 mostów na szlaku kolejowym Hatna-Kimpolung. Odnośne oferty mają być wniesione najpóźniej do 26 maja b. r. do dyrekcyi ruchu we Lwowie. Bliższe warunki są do przejrzenia w inspektoracie dla utrzymania kolei przy dyrekcyi ruchu we Lwowie.

Monopol wyrobu zapałek. W Radzie państwa poruszono myśl zaprowadzenia podatku od zapałek, a minister finansów p. Plener oświadczył, że w zasadzie jest to możliwą rzeczą, trzeba jednak przytem uwzględnić doświadczenia, poczynione w tej mierze przez inne państwa. Francya pierwsza zaprowadziła u siebie monopol wyrobu zapałek i wydzierżawiła go pewnemu towarzystwu za opłatą czynszu rocznego wynoszącego około 17 milionów franków. Aby jednak ten monopol wprowadzić, musiała Francya istniejącym wówczas fabrykom zapałek zapłacić odszkodowanie w sumie 32 milionów. W Austryi wymagałoby to także bardzo znacznych kosztów, mamy bowiem 55 fabryk zapałek z 45 motorami o sile 694 koni parowych, a fabryki te zatrudniają 2950 mężczyzn i 4750 kobiet. Rząd rosyjski zrobił innego rodzaju ciekawe doświadczenie. Oto nie zaprowadził on monopolu, tylko podatek od zapałek, a podatek ten ma także sanitarno-policyjny charakter, gdyż od szkodliwego dla zdrowia żółtego fosforu opłaca się nierównie więcej podatku, aniżeli od innego gatunku fosforu prawie nieszkodliwego, zarówno przy fabrykacyi zapałek, jak i przy ich użyciu. Do tego samego zmierza obecnie Szwajcarya. Chce ona zaprowadzić monopol, przyczem dąży do tego, ażeby szkodliwy zdrowiu żółty fosfor wyrugować z handlu.

Wyjaśnienia te, zakończył p. Plener temi słowy: „W tem stadyum, w jakiem obecnie myśl ta się znajduje, nie mogę dać jeszcze stanowczego oświadczenia, mogę tyle jednak powiedzieć, że kwestya podatku od zapałek nie jest tego rodzaju, iżby ją *a limine* odrzucić można".

Z naszej strony dodać musimy, że monopol, o którym mowa, jest jeszcze ze wszystkich monopoli najmniej niesympatyczny. Ludności bowiem nie da się on prawie uczuć, a państwu przyniósłby znaczne dochody, zaprowadzenie go zaś miałoby może specyalnie w naszym kraju ten dobry skutek, iż ludność wiejska oszczędniej niż dotąd obchodziłaby się ze zapałkami i rodzice nie pozwoliliby dzieciom szastać niemi i bawić się, co bywa powodem tak licznych pożarów po wsiach.

Z Zakopanego nam piszą: Założona tu przed niespełna trzema laty staraniem grona najznakomitszych obywateli „Spółka handlowa", zostająca obecnie po ustąpieniu dra Jana Tyszkiewicza, pod kierunkiem p. W. Erarda Ciechomskiego, może sobie powinszować niezwykłego sukcesu, bo oto już otworzyła drugą filię na Podhalu, mianowicie w Nowym Targu, miasteczku powiatowem, o 3 mil ztąd oddalonem. Zadaniem Spółki jest objąć w swe ręce handel w okolicy podtatrzańskiej, a nabywając i sprzedając, oraz pośrednicząc w kupnie wszelkich towarów krajowych, popierać w najlepszy, bo praktyczny sposób przemysł krajowy.

Ruch w gminie naszej, zostającej jeszcze ciągle pod nadzorem komisarza rządowego p. Schworma, ożywiać się zaczyna dzięki zbliżającemu się sezonowi letniemu — który (mamy nadzieję) będzie dla nas pomyślniejszy, niż sezon poprzedni. Spalony w r. z. pierwszorzędny hotel „Jadwinówka" nie odbuduje się więcej. Natomiast przybyła naszemu uzdrowisku nowa ozdoba, tj. „Willa Marya", zbudowana z prywatnej, a uznania godnej inicyatywy, wielkiemi kosztami i staraniem p. M. Makswalda. „Willa Marya" jest pensyonatem, zapewniającym jak największą wygodę i komfort gościom, i niewątpliwie przyczyni się do nadania europejskiej cechy Zakopanemu. Wspaniała ta willa stoi prawie w samem centrum wsi, w uroczem miejscu, tak, iż ze wszystkich okien i werand cudowny i bardzo rozległy widok się roztacza. [illegible]

Ubiegły sezon zimowy pod względem liczby kuracyuszów zaliczyć musimy do mniej udanych. Gdy według urzędowych dat w zimie 1892/93 250 gości tu bawiło, to w r. zeszłym 150 osób zaledwie [illegible] stacyi klimatycznej na podstawie nowego statutu zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo [illegible] zarząd stacyi klimatycznej złożono w ręce gminy, jak to ma miejsce w zdrojowiskach zagranicznych. Czy do tej zmiany istotnie przyjdzie, trudno na razie przewidzieć.

Sezon letni zapowiada się, jak dotychczas, wcale dobrze, a to dzięki wielkiej wystawie we Lwowie, z powodu której wielu, bardzo wielu rodaków naszych z Kongresówki i Poznańskiego wybiera się do galicyjskich zdrojowisk, aby przy tej sposobności zwiedzić wystawę krajową. Zapowiada się też kilka gremialnych wycieczek z wystawy lwowskiej do Zakopanego i Tatr, między temi wycieczka Związku prasy zagranicznej w Wiedniu.

Z Brzeżan nam piszą:

Dnia 4 bm. rano wybuchł u nas pożar. Popłoch był wielki, ale się skończyło na spaleniu się jednego domu dzięki zabiegom straży ochotniczej.

Swego czasu doniosłem o wybrykach żołnierzy, a teraz niektórzy oficerowie wstępują w ich ślady. Dnia 4 bm. o dziesiątej w nocy trzej oficerowie kawaleryi szli przez miasto, wykrzykując: „*Bagage, nach Haus! schlafen!*" Jeden z nich wyciągniętą szablą uderzył przechodnia po plecach, drugi chwycił innego przechodnia za surdut i obracał nim na wszystkie strony, krzycząc: „*Rechts schaut! Links schaut! Habt Acht!*"

W drugiej połowie czerwca ma tu przyjechać arcyks. Albrecht, arcyks. Leopold Salwator tudzież przeszło czterdziestu jenerałów i sztabowców, w celach wojskowych.

Walne zebranie Towarzystwa szkoły ludowej (Koła pań) odbyło się onegdaj pod przewodnictwem p. Szczepanowskiej. Z przedłożonego sprawozdania dowiadujemy się, że Koło pań rozwija się bardzo pomyślnie. Liczy 900 członków. Dochody w roku zeszłym wyniosły 2827 zł. 5 ct., rozchody 2232 zł. 42 ct. Z pozostałych 604 zł. 63 ct. przesłano 354 zł. 54 ct. do zarządu Towarzystwa w Krakowie. Na wniosek komisyi kontrolującej udzielono wydziałowi absolutoryum. Przystąpiono wkońcu do wyborów.

Ponieważ p. Szczepanowska godności przewodniczącej przyjąć nie chciała, wybrano przewodniczącą p. Skałkowską, a na zastępczynie pp. Jeleniową i Romanowiczową, na skarbniczki pp. Bieńkowską i Ibiańską, na sekretarki pp. Czechowiczową i Grossową.

Z Kopyczyniec nam piszą:

Dzikiej swawoli dopuścili się przed kilkoma dniami niewyśledzeni dotąd sprawcy na szkodę p. N. Pozamenta, właściciela handlu korzennego i składu wódek i likierów. Oto w nocy po wyłamaniu okien, dostawszy się z kancelaryi do sklepu, otworzyli dwie duże beczki z drogim likierem i wypuścili płyn na różne wiktuały, jak cukier, kawę itd., które poprzednio pod beczki złożyli. Około 30 głów cukru i mnóstwo innych artykułów zniszczono w ten sposób. Szkoda wynosi blisko 350 zł.

Pancerz Dowego przed kilku dniami przeszedł znów przez ogniową próbę z takiem powodzeniem, jak na licznych poprzednich dotąd uskutecznionych próbach. Ostatnie doświadczenie z pancerzem odbyło się wobec przeszło trzydziestu oficerów ministeryum wojny, sztabu jeneralnego i korpusu inżynieryi. Do strzelania komenderowano podoficera z batalionu strzelców. Dowe oświadczył się z gotowością nadstawienia swej piersi, nie pozwolił jednak na to pułkownik v. Gössnitz, motywując swój zakaz tą uwagą, że i najlepszy strzelec może chybić. Ostrzeliwano zatem pancerz na stole oparty o kłodę dębową w najrozmaitszych pozycyach: ustawiony prosto, ukośnie... kule grzęzły w pancerzu, ale go nie przebijały. Pułkownik v. Gössnitz wraz z innymi oficerami poświadczył Dowemu, że wynalazek jego należy uważać za doskonały. Dowe spodziewa się, że wreszcie i w obecności cesarza będzie mógł produkować się ze swym pancerzem.

Legendy o Królowej Niebios. Z odczytu p. M. Gawalewicza przytoczymy jeszcze następujący przepiękny ustęp:

[illegible]

---

81) WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

Dawniej prawowierność Egipcyan była szerszą, swobodniejszą, głębszą; wiara wykształconych była zaprawioną głębokiemi filozoficznemi poglądami i wzniosłemi, moralnemi porywami. Lud baczył zapewne głównie na materyalną, obrządkową stronę religii, ale jego wiara gorąca nie była jednak namiętnie wrogą dla innowierców. Wielkie tchnienie najszlachetniejszej tolerancyi przewiewało przez Egipt, oparty o wierzących na tem przekonaniu, że jakkolwiek Egipcyanie mieli najwięcej religijnej wiedzy i sami jedni ustrzegli się od błędów, przecież i ludzie obcy niejednę prawdę w sercu nosić mogli, i ludzie byli także synami bóstwa, godnymi miłosierdzia i mającymi prawo do sprawiedliwości, a wszystkie obce religie mieściły w sobie znaczną część prawdy. Panowanie Egiptu było tedy dobrodziejstwem dla świata, a liczni ludzie, którzy podobnie jak Ozortazen nie wierzyli w niemylność „objawienia światła", świętej księgi Egipcyan, nie byli zmuszeni udawać wiary, a mogli ją szanować, przekonani, że była dobrodziejstwem i że nauka egipskich kapłanów była przez powiedzenie wyższą i lepszą od zabobonu ludowego w Egipcie i poza Egiptem. W tej chwili zaś stało teraz po strasznej zdradzie bury, jaka przeszumiała po Egipcie? Serca się ścięły nienawiścią, religia stała się zabobonną, wyłączną, łgnącą głównie do obrządków, dlatego, że właśnie obrządki były zagrożone i że one głównie Egipcyan odróżniały od obcych; patrzano na wszystkich, którzy nie byli Egipcyanami, jako na nieprzyjaciół, lękano się ich, odgraniczano się od nich, kłamano im, krzywdzono ich, gdzie tylko było można. Ciasnota ta musiała stać się zgubną, a Egipt namiętnie zabobonny i umyślnie osamotniony, musiał się powoli ale pewnie chylić do upadku.

Ozortazen oddawał się takim ogólnym, a niepraktycznym, choć proroczym refleksyom, teraz w chwili bezpośredniego niebezpieczeństwa, domagającego się natychmiastowych czynów. Ale ten stanowiska [illegible] przerafinowanej cywilizacyi i rodu możnego, gnuśnego z przyzwyczajenia, [illegible] z życia pańskiego, prowadzonego przez tyle pokoleń, nie był zdolny do postanowień, a wolał się tem namiętniej w refleksyi, że nie znał innych zwyczajnych namiętności. Myśl jednak [illegible] świat, wróciła wreszcie do niego z gorzkiem pytaniem, czy on i brat jego nie mogli byli nigdyś zapobiedz złemu, posiadając wielkie zaufanie Amenhotepa IV, i czy tedy nie byli winnymi nieszczęściu przez uporczywy sceptycyzm i zbyteczne pobłażanie? Tak było zapewne. Ale na cóż mogło się zdać rekryminacye i próżne żale? Nic. Człowiek rozumny nie wyrzuca sobie przeszłości, a myśli o teraźniejszości i przyszłości. Niebezpieczeństwo dla ojczyzny ponawiało się teraz, a było połączone z największem niebezpieczeństwem rodzinnem i losy zrządziły, że znowu Ozortazen i Amenemha mogli odwrócić klęskę. Czyż mieli znowu pójść za swą naturą? Czy Ozortazen miał usłuchać głosu oświeconej religii, czy miał być pobłażliwym i sceptycznym? Takie usposobienie wydało mu się najgorsze [illegible], a teraz rozmowa z Labanem świadczyła temu, że człowiek kierujący się rozumem i powszechną miłością dla rodzaju ludzkiego, nie wiele potrafi zdziałać w świecie zaludnionym przez fanatyków religijnych i narodowych.

Należało może oddać sprawę w ręce Har-Menkego, który dlatego właśnie dawał sobie radę z ludźmi, że nie był rozumniejszym od nich. Trzeba było wyrwać Amenemhę z dobrodusznego snu, otworzyć mu oczy na knowania Abibaala, przekonać go, że [illegible] i nagle ukarać winnych, które nie obejdzie się bez wielkich wstrząśnień i bez wielkiego [illegible] fanatyzmu, ale które zapobieże większym klęskom i [illegible] niebezpieczeństwu dla ojczyzny. Tylko nie wiedzieć, czy się Amenemha da przebudzić? Bywał równie niestanowczym jak Ozortazen, a może jeszcze mniej rozumnym. Oślepiał się samochęcią i bronił się z niewidzianym uporem przeciw tym, którzy chcieli jego ślepotę uleczyć.

W niepewności przepędził Ozortazen noc bezsenną, w której doznawał piekących niepokojów, gości dawno już nieznanych w jego starej piersi, zajętej dotąd wyłącznie przez jakąś gorzką, filozofią na poły zagojony żal za nieodwołalną przeszłością, za życiem zmarnowanem przez niezasłużone nieszczęście. Kiedy się przebudził i pośniadał, poszedł do gaju, przy świątyni Horusa, bez żadnego wyrobionego zdania, chcąc się tylko rozmówić raz jeszcze z owym Har-Menkem, który był tak szczęśliwy, że nie wiedział stanowczo czego chciał.

Zastał kapłana siedzącego na kamieniu przed własnym domkiem, w cieniu tamaryszków. Przywitał się z nim i siadł opodal na murawie, opierając plecy o pień starego drzewa.

— I cóż? — spytał się Har-Menke, — zawarłeś przymierze z prorokiem kłamstwa, i jak nim jesteś z tego przymierza?

Ozortazen odrzekł:

— Jeżli Labana nazywasz prorokiem kłamstwa, odpowiem ci, że nie zawarłem z nim przymierza, i że nie zawrę, bo go jestem niewesołej myśli.

— Więc namyśliłeś się w ostatniej chwili i nie poszedłeś za złą radą Hanny, nie zwierzyłeś się staremu Hebrajczykowi?

— I owszem, pokazałem mu list Hanny.

— A on, przeczytawszy to pismo, oburzał się głośno na Abibaala i wyrzekając na jego zbrodnicze zamiary, przyrzekał, że im zapobieże tak, że się nie ma na pewne spodziewać?

— Nie, wcale nie! Powiedział mi tylko, że się przekona czy treść tego listu jest zgodną z prawdą, i że się ze swoim Bogiem poradzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

środę i co sobotę idzie Matka Boska na ratunek dusz... Chłodniej się robi w czyścowem pustkowiu, cierpiący zaś wołają: „Roso niebieska, bądź błogosławiona". Najświętsza Panna jednej z dusz podaje różaniec i tę z czyśćca wyprowadza.

W rajskim ogrodzie wieczna wiosna: na jednem drzewie rozwija się od razu kwiat i owoc dojrzewa, nigdy zaś nic nie więdnie. „Gdzie spojrzeć wszędzie kwiaty, kwiaty, kwiaty!" Są to duszyczki dzieci, które szepcą: „Zdrowaś Marya..."

Po ścieżkach raju chodzą święci i aniołowie. A kiedy do raju duszyczka wchodzi, to nawet na ziemi o tem wiedzą, bo niebo ogniste daje wówczas ziemi znaki.

Żył kiedyś na świecie czarownik bezbożnik bo z Bogiem nie chciał zgody. Miał córkę, modlącą się do Matki Boskiej, więc ją dał na pożarcie smokowi. Marya Panna poleciła św. Jerzemu aby smoka zabił, co też ten uczynił.

Każdy człowiek ma swoją gwiazdę na niebie, kiedy ta spada, mówi duszyczka wychodząca z ciała: „Zdrowaś Marya". Tylko święci stanowią wyjątek, mają bowiem gwiazdy stałe, nieruchome.

W piekle płomienie syczą, smoła gotuje się w kotłach, od czasu do czasu słychać zgrzyt zębami i targanie łańcuchem Lucypera, który gdy się zerwie, wyleci w świat, a wtedy wybije dla świata ostatnia godzina. Co jest w piekle najgorszego, to ta wieczna pewność beznadziejności: to jest okropne. Ale i tu sięga wpływ Matki Boskiej.

Tulą się dusze tych, co zmarli bez spowiedzi. Strasznie im smutno, idą tedy do cmentarza i proszą, żeby ich zabrał w swe łono, a cmentarz odpowiada: „nie mogę, nie mogę". Kościół, ziemia, lasy, ogień, woda, obłoki—wszystko po kolei odpowiada: „Nie mogę, nie mogę, nie mogę!" Tylko piekło radeby duszyczki przygarnąć, promieniem wybuchającem je witając. Przestraszone dusze wołają: „Panienko ratuj nas!" Najświętsza Panna zniża się z góry, robi nad duszyczkami znak krzyża świętego, połą płaszcza okrywa i do nieba unosi.

Przyjdzie w końcu chwila, że Lucyper zacznie się znowu rwać przeciwko niebu. Antychryst będzie się zwał Bogiem, będzie kładł czarny krzyż na czoło tych, co weń uwierzą, aby nosili piętno. Zacznie się walka aniołów z złemi duchami.. Nagle zapanuje cisza. Potem rozlegnie się trąba Archanioła—i rozpocznie się sąd ostateczny. Po prawicy będzie radość wielka, po lewicy — rozpacz czarna i wieczna.

Zanim wszystko już do wiecznego ułoży się spoczynku, odbędzie się stypa żywych z umarłymi. Nieszczęśliwi niektórzy w rozpaczy bezgranicznej zaśpiewają: „Pod Twoją obronę" — i jeszcze raz Matka Boska pomocy im udzieli: wzniesie błagalne swe oczy do Boga i będzie mogła trzykrotnie płaszczem zagarnąć te dusze; ile się pod ten płaszcz zmieści — tyle dusz od potępienia Marya Panna ochroni. A potem skończy się świat—a rozpocznie wieczność".

Kłopoty niewiast w podróży. Znana autorka Esteja opowiada w następujący malowniczy sposób w jednem z pism warszawskich niedawną swą podróż do Traunsteinu:

„Z Wiednia do Salzburga kuryerem godzin 7, z Salzburga do Traunsteinu godzina.

W Wiedniu na dworcu północnym o 7 zrana, zatrzymuje się pociąg pospieszny z Oderberga. Ruch opętańców!

Wszyscy pędzą na pół przytomni. Tłum, po większej części elegancki, zapomina w tej chwili o wszelkich zasadach dobrego wychowania, mężczyźni torują sobie drogę, tragarze pędzą kłusem, niosąc ciężary, i oglądają się za pasażerkami, — nawołując je gestem do pospiechu, — jedni drugim na pięty następują, jedni drugich popychają, niewielka różnica z ruchami wiejskiego ludu, gdy przebojem na procesyi tuż za księdzem miejsce sobie zdobywa.

Na wyścigi, zapominając o zmęczeniu nocnem, gorączkowo, w najwyższem podnieceniu, spieszą panowie i panie, bo chodzi o zdobycie „Zweispännera" jak najlepszego, a „fiakry" stoją het, daleko.

Całą długą platformę bez tchu przebiegać trzeba, i schody i ganki, i znowu platformę, i nareszcie cel marzeń osiągnięty — „Zweispänner!".

— Na dworzec zachodni, — marsz! marsz! co żywo.

Jedziemy, za trzy kwadranse pociąg z „Westbahnhof" wyrusza do Salzburga. Trzy kwadranse na obejrzenie *á vol d'oiseau* Wiednia, uśpionego jeszcze. Choć śpi, ale śliczny zawsze, czysty od samego rana.

Płomienie słoneczne lśnią tysiącami z daleka, na szczytach wież św. Szczepana, między gzymsami rzeźb koronkowych, jak w gniazdach świetlistych zamknięte. Plac za placem, pałace, gmachy, „Votiv-Kirche" zamajaczy tylko zdaleka, — jak zjawisko z mgły porannej, różowemi blaskami oblane. Jazda, dalej! Prędzej!

Osławione „fiakry" wiedeńskie toczą się miarą przeciętnego kłusa — nie widać pospiechu.

— Ach! „mamy czas" — zawyrokował flegmatyczny Niemiec.

Nam mówiono, że nie mamy czasu, że minuty stracić nie wolno, ale on musi lepiej wiedzieć — więc spokojnie rozglądamy się dokoła.

Już piękny „Westbahn" jaśnieje na horyzoncie, już się zbliżamy, już jesteśmy.

Tragarz pyta — dokąd?

— Na kuryer do Salzburga.

— Poszedł — dwie minuty temu.

— Tarrarrabum — woła jakiś wiedeński „Gavroche," przyglądając się z rękoma w kieszeniach biednym skonfundowanym minom.

I co tu poczynać w takich warunkach?

Łajać „fiakra" słaba pociecha — gryźć i tupać nogami — nie wypada i kuryera nie powróci.

— Tarrarrara-bum-dera! huczy, śmiejąc się na cały głos nikczemny łobuz wiedeński.

Gdyby go tragarz wybił! Gdyby tragarz „fiakra" z kozła zrzucił! Gdyby się tragarz domyślił, że jakaś awanturka wywołana przez niego ulży nam. Ale tragarzowi ani to w głowie — gruby, opasły kołysze się z nogi na nogę i patrzy na nas, a my na niego. Stało się.

Nocować do następnego dnia i znowu się na kuryer spóźnić, albo wziąć „osobowy" o 10 z rana i żółwim krokiem „zwolna, zwolna bez swawoli toczyć się dzień cały," o 9 wieczorem stanąć w Salzburgu, o 11 w Traunsteinie?

Następnie narada i — mała sprzeczka. Sprzeczka być musi, bo jadą trzy panie: jedna z migreną, druga z chronicznym bólem gardła, trzecia z nadwątlonemi siłami.

Humory nieświetne — „dwie minuty" opóźnienia i niemożność pomsty nad niegodziwym „fiakrem" wywołują pewne rozdrażnienie.

Jadą do Traunsteinu — tam się mają pozbyć bólów gardła, migren, blednic według obietnicy Kneippa i adepta jego doktora Wolfa.

Wynik dyskusyi — jechać. Zanosi się na upał, w Wiedniu zatrzymamy się dłużej z powrotem, a teraz byle prędzej do celu.

Cudna jest droga z Wiednia do Linzu. Tuż za Wiedniem pasma wzgórz malowniczych ciągną się nieprzerwanym łańcuchem. Wille i ogrody — ogrody i pałace — zamki i parki — wioski i miasteczka, mija godzina — dwie a zdawałoby się, że to ciągle Wiedeń jeszcze pnie się po górach wśród lasów, tak szeroko i daleko ludzie się garną do centrum wszelkiej rozkoszy.

W coupé dwie cudne wiedenki typowe „Weaner Mädel" rozmawiają z takiem ożywieniem i tak się zaraźliwie śmieją, że wesołość wraca na oblicza trzech Polek. Zabliźniają się rany, zapomina się chwilowo o migrenie, ból gardła i zaniku sił, rozmowa kwitnie — apetyt w Lincu służy, kelner podobny do hrabiego Montmorency z ruchami wytrawnego gentlemana — może jaki książe *incognito*, usługuje im w restauracyi aż do Linzu. Konduktorzy co kilka stacyj się zmieniają i każden wierny tradycyi przychodzi po *bakszisz*. „Weaner Mädel" stanowczo tradycyi nie pochwalają i delikatnie starają się wzbudzić ambicyę i bezinteresowność w konduktorach — ci mniej delikatnie dowodzą podróżującym paniom, że tradycye szanować trzeba, bo inaczej znajdzie się u nich zanadto ręcznych bagaży, nie wolno obydwóch okien otwierać, nie wolno papierosa palić, nie wolno wyciągnąć nóżek na siedzeniu — przedział zapełni się po brzegi; jednem słowem, małe a nawet wielkie prześladowanie!

Panie w Linzu, renonsując od cywilizowania konduktorów, haracz płacą, konduktor dogadza im.

Wszystkim dobrze, wszyscy zadowolnieni, powoli rozmowa się ucisza, zmęczone oczy przymykają się coraz częściej, panie śpią.

„Salzburg!" — huknął głosem wielkim konduktor.

Budzą się wszystkie głodne, ale zanim do bufetu, trzeba pędzić do cła.

Następuje mała pomyłka: zamiast do bawarskiej, panie nie ostrzeżone wchodzą do austryackiej komory.

Czekają na urzędników — nikogo, czekają na bagaże — nie ma! mocno rozdrzemane, jeszcze mocniej głodne, z muzułmańską rezygnacyą ciągle czekają.

Drugi dzwonek!

— Co to?

— Pociąg do Traunsteinu odchodzi — odpowiada jakiś jegomość.

— Nie może być.

— A jakże!

— Gdzie nasze rzeczy? Gdzie ten idjota tragarz? Czego my tu czekamy?

— Nie wiem — odpowiada flegmatycznie Niemiec.

To „nie wiem" było stokroć więcej szydercze od rannego „Tarrabum"!

Jak huragan panie pędzą na platformę, zderzają się jak dwa „blitzcugi" z dwoma tragarzami.

— Gdzie panie przepadły?

— Gdzie wy siedziecie?

— Gwałt wielki? proszę ze mną do cła.

— Spóźnimy się już po drugim dzwonku.

— A może..

Urzędnicy na cle mają litość w sercu, bez otwierania przylepiają kartki na kufrach, kufereczkach z energją i dobrą wolą. Już jesteśmy w przedziale, już ostatni kuferek wrucono za nami.

— *Ferrrrtig!*

Trzeci dzwonek — jazda!"

Z Tarnopola nam piszą: W sobotę przedpołudniem odebrał sobie życie dwoma wystrzałami z rewolweru, podporucznik stojącego tu załogą pułku piechoty Nr. 15, Otton Oppenheimer, liczący 23 lat. Przyczyną samobójstwa miały być, jak powiadają szykany. W piątek cały wieczór przepędził Oppenheimer w kawiarni w towarzystwie kilku oficerów. Mimo, że był bardzo wesół, kilkakrotnie wspomniał, jakby żartem, że się jutro zastrzeli, czego naturalnie żaden z kolegów nie brał na seryo. Gdy w sobotę o godzinie 12-tej podporucznik p. Herner, który mieszkał razem z ś. p. Ottonem Oppenheimerem, wrócił z ćwiczenia do domu, spostrzegł z przerażeniem swego towarzysza broni, leżącego na łóżku w kałuży krwi z przestrzeloną skronią i sercem. Wszelka pomoc lekarska była już spóźnioną, gdyż śmierć natychmiast nastąpiła.

W Trembowli zmarł onegdaj wskutek udaru sercowego rotmistrz tutejszego pułku dragonów nr. 10, p. Juliusz Mozer. Nagły zgon rotmistrza, którego tu powszechnie jako zdolnego oficera i rzadkich zalet człowieka ceniono i poważano, wywołał w mieście naszem szczery żal i współczucie.

Pogadanka matematyczna. Spojrzyjmy na zegarek i zastanówmy się chwilkę nad posuwającemi się wskazówkami: Wskazówka minutowa zaledwie się posuwa, godzinowa zdaje się stać na miejscu, a tylko sekundowa biegnie sobie ochoczo.

Ruchy dwóch pierwszych wskazówek dlatego są tak powolne, że wskazówki te bardzo są krótkie w zegarku, inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeżeli je wyobrazimy sobie daleko dłuższemi, np. na jednę milę długości. W takim razie punkt końcowy wskazówki godzinowej robi 4 km na godzinę czyli posuwa się z szybkością pieszo idącego człowieka. Punkt końcowy wskazówki minutowej 6¼ mili na na godzinę czyli biegnie z szybkością osobowego pociągu, a końcowy punkt sekundowej wskazówki zrobi na godzinę 375 mil czyli leci z podwójną szybkością głosu a pojedyńczą szybkością kuli armatniej i to z szybkością, jaką ma kula w chwili wyjścia z wylotu. Na pozór nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe, co prostym rachunkiem każdy sprawdzić może.

Biorąc rzecz odwrotnie, będziemy mieli następujący wypadek: Jeśliby armata oddaloną była od nas na milę i pośród nocy nastąpiłby strzał, a kula byłaby świecąca, to widzielibyśmy ją w tem oddaleniu lecącą tą samą chyżością, jaką ma sekundowa wskazówka na naszych zegarkach kieszonkowych.

Aby końce wszystkich trzech wskazówek posuwały się z równą szybkością, np. z szybkością wskazówki minutowej, w takim razie długość wskazówki godzinowej musiałaby wynosić 12 mil, długość wskazówki minutowej 1 milę, a długość wskazówki sekundowej wynosiłaby tylko 127 metrów. W takim razie końce wszystkich trzech wskazówek biegłyby z szybkością pociągu osobowego.

Ofiary. Na imieninach w domu państwa Bronisławowstwa Chłopickich w Zawałowie zebrano 12 złr. 10 cnt. i nadesłano nam przeznaczając na rzecz fundacyi imienia Kościuszki. P. Kazimierz Jastrzębski z Doliny zebrał dla pogorzelców Nowego Sącza 10 złr. 60 cnt; złożyli mianowicie: J. Czarnek, H. Filipkowski, M. Gottesmann, K. Jastrzębski, M. Jastrzębska, Dr. Kotłowski, Dr. L. Rosenbusch, S. Sternbach i St. Tebinka po 1 złr.; J. Dobrowolski 60 cnt., oraz A. Sajewicz i Z. Turteltaub po 50 ct.

Pieniądze te odesłaliśmy na ręce prezydenta miasta.

Zmarli. Władysław Trzeciecki, notaryusz i burmistrz w Dąbrowie, umarł w 64 roku życia. — Teresa z Niklasów Garbaczyńska, żona właściciela dóbr, umarła w Mokrzcu w 66 roku życia. — Ks. Józef Szypek, proboszcz rz. k. w Kimpolungu, umarł w 81 roku życia.

Szczyt złośliwości.

Jechać w wagonie kolejowym z młodem małżeństwem, odbywającem podróż poślubną i w każdym tunelu zapalać gasnące cygaro.

Literatura i Sztuka.

* **Kronika muzyczna.** Paderewski gra znowu w Londynie. Anglicy cieszą się odwiedzinami znakomitego artysty i zachwycają się jego grą. Licznych recenzyi streszczać niepodobna. Natomiast zacytujemy słowa londyńskiego dziennika *To Day*, który przytacza kilka szczegółów z prywatnego życia mistrza. Oto, co pisze: „Paderewski ma się odznaczać wielką siłą fizyczną, wstrzemięźliwością— z wyjątkiem od palenia — rzadką uprzejmością, wyrafinowanym ma być smakoszem... i na wskroś kosmopolitą. Kiedy przed czterema laty przyjechał do Anglii po raz pierwszy, po angielsku nie mówił ani słowa, odbywszy podróż po Stanach Zjednoczonych, wrócił kompletnym Anglikiem, nie przeszkadza mu to wcale być Paryżaninem z Francuzami, a z Niemcami Wiedeńczykiem. Woli komponować, aniżeli grać. Włosy strzyże.. często". Ten ostatni szczegół jest nowością, bo jak wiadomo, dawniej Paderewski nosił bujne włosy artystyczne. Występy naszego muzyka w Londynie nie potrwają długo. Już bowiem w połowie maja wraca do kraju i osiądzie na ferye letnie w dobrach swoich w Kieleckiem.

Uczeń Paderewskiego, dziś już słynny pianista, Zygmunt Stojowski, po powrocie do Paryża dał koncert w sali Erarda. Nazwisko Stojowskiego ściągnęło doborową publiczność francuską, angielską i polską. Artysta zaprodukował się z nowym programem, w którym figurowały trzy jego własne utwory fortepianowe. W tym samym koncercie wystąpił śpiewak Fürstenberg i wykonał kompozycye Stojowskiego a mianowicie cztery pieśni do słów Asnyka i krakowiak do słów Edmunda Wasilewskiego. Zarówno kompozycye, jak gra naszego artysty, wywołały żywe oklaski. Krytyka miejscowa pisze: „Jest to artysta niezwykłej miary, nie ubiegający się za reklamą, za efektem technicznym, ale traktujący sztukę z prawdziwą miłością i poszanowaniem; nie olśniewa, nie zdumiewa grą, ale przykuwa słuchacza i zmusza go do słuchania".

Londyn oprócz Paderewskiego, gości w tej chwili więcej artystów polskich. I tak panna Janota da 17 b. m. koncert na dochód utrzymania kapelana polskiego w Londynie, gdzie mieszka 1000 biednych Polaków; Józef Hoffmann, który ostatni raz był w Londynie przed kilku laty, jeszcze jako „cudowne dziecko", da trzy koncerty; wreszcie dziesięcioletni skrzypek Bronisław Huberman, który tu przybył z rodzicami, zaprodukuje się parę razy.

Znaczną także stosunkowo liczbę artystów naszych gości obecnie Wrocław. Artur Argiewicz wystąpił z jednym koncertem i porwał słuchaczy urokiem swojego smyczka. P. Jadwiga Dylewska, śpiewaczka znana z bardzo szczęśliwych występów w Łodzi, podpisała kontrakt trzyletni z intendenturą opery w Wrocławiu. Barytonista Rudolf Bernard, były członek opery lwowskiej, dał koncert w spółce ze śpiewaczką włoską Sarą Palma. Dziesięć razy wystąpiła tam wreszcie p. Zimajer, jak zawsze z powodzeniem, poczem wyjechała do Poznania na gościnne występy w teatrze polskim.

Dnia 24 z. m. odbył się w Wiedniu w sali Ehrbara koncert p. Juliana Cudziewicza ze współudziałem kilku sił miejscowych. P. Cudziewicz śpiewał pieśni i wyjątki z oper, między innemi Tostiego „Vorrei morir" i po polsku aryę z kurantami, oraz recititativo ze „Strasznego dworu". Sukces tego koncertu był znaczny. P. Cudziewicz ma zamiar wystąpić we Lwowie podczas wystawy.

Świetny sezon koncertowy miało Wilno. Podobno najstarsi mieszkańcy nie pamiętają tak olbrzymiego sezonu. Koroną jego były produkcye Barcewicza i Klamrzyńskiej. Kilkudziesięciu artystów i artystek koncertowało w Wilnie z rozmaitem powodzeniem. Z wybitniejszych wymienimy: Montenegro (wiolinistka), Hellerówna, Massini (tenor). Wolfsthal (skrzypek), Reisenauer (fortepianista), Wąsowska (fortepianistka), Sanderson (śpiewaczka), Gregorowicz (skrzypek), Abramowiczówna, Mrowińska, Maroguetti, Berghi.

W paryskim teatrze „Bouffes-Parisiens" dano z końcem kwietnia nową operetkę „Le bon homme de neige" („Człowiek ze śniegu"). Libretto, chociaż oparte na pomyśle dość oryginalnym, przeprowadzone zostało w sposób niedorzeczny. Natomiast muzyka A. Banésa, świeża i lekka, wynagradza braki libretta. Ładny jest osobliwie „chór śnieżny". Słabszą jest operetka „La fille de paillasse" („Dziewczyna z siana"), wystawiona w teatrze „Folies dramatiques". Zarówno pomysł spółki Lierat i Leloir, jak muzyka L. Varneya są banalne, bezbarwne i przepełnione reminiscencyami zkądinąd. Kilka ustępów cieszyło się powodzeniem, a mianowicie piosnka polityczna w akcie pierwszym, gawot w drugim, oraz komiczny tercet, śpiewany przy końcu operetki.

Część ekonomiczna.

Z ruchu kolejowego. Od 1 bm. weszły w życie: dodatek pierwszy do taryfy części II, zeszyt 3, dla związkowego ruchu galicyjsko-węgierskiego, oraz dodatek drugi do taryfy galicyjsko-wiedeńskiego związku kolejowego, jakoteż nowa taryfa (L. 182 A, strona 1331) jeneralna dla ruchu kolejowego z przeładowaniem na Łabie.

Telegramy „Przeglądu".

Peszt 8 maja. W izbie magnatów toczyła się wczoraj debata nad projektem ustawy o ślubach cywilnych. Referent Czorda imieniem komisyi postawił wniosek o przyjęcie tej ustawy. Ks. prymas Vaszary oświadczył, że z dogmatycznych względów sprzeciwia się ustawie, gdyż jest ona zaprzeczeniem dogmatu katolickiego o nierozerwalności małżeństwa i jego sakramentalnym charakterze. „Przysięgałem — rzekł prymas — wierność Papieżowi i królowi. Odrzucając to przedłożenie, nie staję się przez to niewiernym ojczyźnie, ale głosując za niem, stałbym się niewiernym Kościołowi". — Oklaski na prawicy.

Za przedłożeniem przemawiał członek izby Gajzago, poczem minister sprawiedliwości Szilagyi w długiej mowie bronił przedłożenia i starał się zbić podniesione przeciw niemu zarzuty. Minister podniósł, że państwo ma najwyższą władzę na polu ustawodawstwa cywilnego, a zatem także na polu ustawodawstwa małżeńskiego. W dalszym toku polemizował minister z wywodami ks. prymasa i zapewniał, że projekt rządowy nie narusza żadnych dogmatów ani nie nakłada przymusu sumieniom obywateli. Projekt rządowy jest raczej gwarancyą czystości i świętości pożycia małżeńskiego, gdyż rozwód jest często lepszy i zbawienniejszy aniżeli pozbawione wszelkiej moralnej wartości pożycie małżonków. Minister wskazał przytem na przykład Belgii i Francyi, gdzie śluby cywilne od dawna już zaprowadzono i zaprotestował przeciw zarzutowi, jakoby projekt rządowy oparty był na zasadzie protestanckiej. Z tych powodów prosi minister o przyjęcie ustawy. (Oklaski)

Dalszy ciąg debaty odbędzie się dziś.

Wiedeń 5 maja. Komisya prasowa na wczorajszem posiedzeniu wystylizowała w duchu propozycyi rządowej postanowienia o zniesieniu kaucyi dziennikarskiej. Zarazem uchwaliła komisya pomimo opozycyi ministra sprawiedliwości, że w razie gdy z powodu niektórych ustępów artykułu zarządzoną bywa konfiskata dziennika, ustępy te należy wymienić zaraz przy wykonaniu konfiskaty.

Praga 8 maja. Wczoraj rozpoczął się przed trybunałem tutejszym proces przeciw czterem młodym ludziom, obwinionym o spełnienie zamachów dynamitowych w grudniu r. z. i w lutym b. r. Oskarżeni przyznają się do zbrodni. Oskarżony Schmider zeznaje, że podrzuciwszy bombę w domu adwokata Wolfa sam zawiadomił straż ogniową, iż w domu tym wydarzyło się nieszczęście, a następnie przez całą noc strzegł domu Wolfa. Dwa inne zamachy popełniono dla tego tylko, aby pokazać władzom, że jeszcze nie schwytały właściwych sprawców zamachu. Oskarżony Natali zachowuje się bardzo trwożliwie i stara się w niczem nie obciążyć swych towarzyszy, którzy wszelką winę na niego zwalają. Rzeczoznawcy orzekli, że ilość dynamitu, użyta przez oskarżonych do sporządzenia bomb, wystarczała, aby wiele ludzi pozbawić życia. Na wniosek obrońcy uchwalono wezwać kilku nowych świadków i zbadać przez lekarzy stan umysłowy Nataliego.

Grac 8 maja. W całem mieście panuje trudna do opisania radość z powodu szczęśliwego ocalenia siedmiu turystów zamkniętych w jaskiniach Lurloch. Gdy o godzinie 12 w południe zatknięto na zamku białą chorągiew na znak, że turyści żyją, wszystko co żyje wybiegło na ulice. Na rogach ulic rozlepiono plakaty z zawiadomieniem, że wszyscy wycieczkowcy żyją, kolporterzy i ekspresi rozrzucali dodatki do gazet. Tysiączne tłumy ruszyły za miasto na spotkanie ocalonych. Szczegóły wczorajszej akcyi ratunkowej, uwieńczonej tak pomyślnym skutkiem, są następujące: Od rana już olbrzymie tłumy ludzi stały koło otworu jaskini. Panowało między nimi wielkie wzburzenie. Zewsząd rozlegały się narzekania, że roboty zanadto opieszale idą, że biedacy zamknięci w pieczarach nie doczekają się już ratunku. O godzinie 10 rano nurek Fischer puścił się wezbranym potokiem w głąb jaskini, a po pół godzinie wrócił i dał znać, że nad powierzchnią wody ujrzał płonącą świecę, że zatem turyści muszą żyć. Natychmiast zatelegrafowano o tem do Gracu, skąd wysłano bezzwłocznie dwa patrole sanitarne i dwa wozy czerwonego krzyża. Skutkiem ustawienia tamy, obniżył się po godzinie 11 poziom wody, wypływającej z jaskini z 20 na 12 centymetrów. Wtedy nurek Fischer puścił się znów w głąb jaskini, a za nim kilku innych ludzi z adjunktem leśniczym Putickiem, który od początku kierował akcyą ratunkową. Gdy dotarli do miejsca, w którem Fischer poprzednio dojrzał światło, usłyszeli wydobywające się z głębi wołanie: „Hop! hop!" Odpowiedziano tym samym okrzykiem i zapytano biedaków, jak się mają. „Zdrowi jesteśmy", — odpowiedzieli. — „Czy wszyscy siedmiu?" — zapytał Fischer. — „Wszyscy", — odpowiedziano. Na sznurach spuszczono uratowanym flaszki z mlekiem i koniakiem i wezwano ich, aby cofnęli się jak najdalej w głąb jaskini, gdyż trzeba będzie jeszcze skały rozsadzać.

Rozsadzanie skał trwało jeszcze cztery godziny, dopiero około 4 po południu skończono roboty i dotarto do ocalonych. Siedzieli oni wszyscy skupieni obok siebie przy płonącej świecy. Poczęto ich wynosić. Siedmnastoletni uczeń szkoły realnej Haidt nie był w stanie podnieść się z miejsca, na którem siedział. Jego pierwszego wyniesiono. Biedak zestarzał się w ciągu tych ośmiu dni do niepoznania. Brat i siostra stojący u wejścia rzucili się ku niemu, on ich jednak nie poznał, patrzył osłupiałym wzrokiem do koła, wreszcie zemdlał.

Następnie wyniesiono Faschinga. Szedł on o własnych siłach i był dość wesoły, dostawszy się jednak na świeże powietrze, zemdlał, rażony światłem dziennem. Najlepiej trzymał się rymarz Foelzmann. Wyszedłszy zawołał on wesoło: „So a Hetz war noch nicht da". (Takiej hecy jeszcze nie było). O godzinie ¾ na 5, wszyscy byli już na wolnem powietrzu. Mają się oni stosunkowo dobrze i przyjdą niezawodnie niebawem do siebie. Tylko student Haidt jest nadzwyczajnie osłabiony.

Opowiadają oni, że we wtorek, gdy już ich zapasy żywności się skończyły, znaleźli skrzynię z świecami, serem, chlebem i innemi wiktuałami. Była to właśnie ta skrzynia, którą na los szczęścia puszczono biegiem potoku. Ocaliła ich ona od niechybnej śmierci głodowej. Żywność zawartą w niej dzielili sumiennie między siebie i w ten sposób doczekali się szczęśliwie ocalenia.

Wieczorem przewieziono wszystkich wozami ratunkowemi do Gracu.

Cesarz nadesłał namiestnikowi telegram, w którym wyraża swe najżywsze zadowolnienie z szczęśliwego ocalenia. Gdy telegram ten odczytano, wzniosła publiczność trzykrotny okrzyk na cześć Cesarza.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

† **Za spokój duszy śp. Stanisławy z Dulębów PAWŁOWSKIEJ odbędzie się żałobne nabożeństwo w kościele OO. Bernardynów 9 maja o godzinie 10.**

†

Za spokój duszy śp. **Feliksa Dybusia** zmarłego dnia 6 maja 1893 i śp. **Maryi z Kwiecińskich Dybusiowej** zmarłej dnia 10 maja 1890. odbędzie się dnia 10 maja 1894 o godzinie 10 rano

Nabożeństwo żałobne

w kościele OO. Bernardynów, na które pozostałe dzieci, krewnych, znajomych i pobożnych chrześcian zapraszają.

†

Za spokój duszy śp.

Andrzeja Kochanowskiego

aptekarza, odprawionem zostanie **Nabożeństwo żałobne** w kościele OO. Bernardynów w piątek dnia 11 maja br. o godzinie 10 z rana, na które pozostała rodzina przyjaciół i znajomych zaprasza.

Lwów dnia 8 maja. (Z izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassk. po 200 zł. w. 279.— do 282·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 410·— do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·30 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·80 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·20 do 98·90. 4% los. w 41½ lat. 98.20 do 98·90, 4% los. w 56 latach 97·80 do 98·50. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97·— do 97.70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·80 do 102·50 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·80 do 103·—. Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 97 — do 97·70 4% z roku 1893 97 — do 97·70.

Monety. Dukat cesarski 5·86 do 5·96 Napoleondor 9·89 do 9·99. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·—do 1.35·—. 100 marek niemieckich 61·— do 61·50.

Wiedeń dnia 8 maja. (godz. 11 w połudn. Kredyty 354.—, kred. węgierskie 429.25, Anglob. 151.50, Uniony 258.—, Bankvereiny 127.40, Länderbanki 250.10, Akcye tytoniowe 218·—, Staatsbahny 342·—, Lombardy 104.—, Elbethale 265.25 Renta papierowa 98.60, Renta węg. 4% kor. 95·12 Renta węg. złota 4% 119.25, Alpiny 71.50, Marki 61·25, Losy tur. 64.—.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·00	**10·46**	**5·26**	11·11	**7·31**
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	**11·56**	—
Podw. Podzam.	6·58	3·32	10·40	**11·25**	—
Czerniowiec	6·51	—	10·51	8·31	**10·06**
Stryja	—	—	6·16	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	**7·21**	—

Przychodzą z	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·03	6·01	**6·46**	**9·36**	9·36
Podwołoczysk	2·48	**10·05**	**6·21**	9·46	—
Podw. Podzam.	2·34	**9·49**	9·21	5·55	—
Czerniowiec	**10·16**	—	**7·11**	8·13	1·03
Stryja	—	—	9·10	**9·23**	**12·46**
Bełzca	—	—	6·24	5·21	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

46)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— Niestety — odrzekł doktor ze smutkiem — mylisz się pan; czy to wskutek strasznego uderzenia w głowę, czy też ze wzruszenia po odzyskaniu przytomności, Teresa jest już obłąkaną.

— Ale będzie ją można wyleczyć? — zapytał p. Gervais.

— Bóg jeden wie!... — odrzekł lekarz.

XIX.

Aresztowanie.

Robert, rozstając się z Teresą tego wieczora, w którym spełniona była zbrodnia, miał duszę przepełnioną różnemi uczuciami.

Niepokoił go dany mu przez nią komis; nie miał pojęcia o interesach pieniężnych, i zdawało mu się koniecznie, że spotka go jakiś wypadek. Często zdarzało mu się słyszeć, że Londyn przepełniony jest złodziejami. Czuł, że nie będzie miał jednej chwili spokojnej, dopóki tych przeklętych pieniędzy nie złoży w ręce Teresy.

Następnie bał się spóźnić na pociąg i biegnąc, prawie żałował, że podjął się tak ciężkiej sprawy. Ale zanadto kochał siostrę swej narzeczonej, by mógł odmówić jej żądaniu, jej, tak samotnej, opuszczonej. Zresztą, czyż nie powiedziała mu, że części tych pieniędzy użyje dla Heleny, by sprawić jej niespodziankę w dzień ślubu? Robert, jakkolwiek był bezinteresownym, zanadto kochał przecież pannę Rochebelle, by nie miał pragnąć dla niej szczęścia i wygód.

Przybył na dworzec kolejowy już po drugim dzwonku i zaledwie zdążył kupić bilet i wskoczyć do wagonu, gdy pociąg ruszył.

Przyzwyczajony wcześnie udawać się na spoczynek i spać do samego rana, znalazłszy się sam w przedziale klasy drugiej, wkrótce zasnął i obudził się dopiero w Dièppe.

Po wyjściu z wagonu przywołał posłańca i kazał się zawieźć na statek, odpływający do Anglii, a w pół godziny stojąc na pokładzie, zachwycał się już oddalającemi się na widnokręgu, tonącemi w jasnych promieniach pogodnego poranka zielonemi brzegami Normandyi.

Morze było spokojne, wysmukły parowiec szybował bystro po lekko marszczonej słabym wiatrem przestrzeni wód i w samo południe, więc w sześć godzin po wypłynięciu z Dièppe, stanął w porcie Newhaven.

W dwie godziny później Robert był już na ulicy Piccadilly w Londynie i wchodził do mieszkania bogatego Anglika.

Ustawione w przedsionku walizy, pokryte szarem płótnem, przekonały Roberta, iż dobrze uczynił spiesząc się z przyjazdem. Pan Clarkson, rzeczywiście, tegoż wieczora opuszczał Londyn. Ale było dopiero po drugiej, on zaś w liście przyrzekł oczekiwać do czwartej.

Gdy Robert podał panu Clarksonowi jego list własny, pisany do Teresy, nadto list jej i weksel na okaziciela, bankier rozpatrzył naprzód papiery, następnie przyjrzał się Robertowi.

— Czy pan jesteś krewnym pani Dangely? — zapytał.

— Nie, panie, jestem tylko jej przyjacielem.

— Pańskie nazwisko?

— Robert.

Pan Clarkson uśmiechnął się życzliwie.

— Pan André w ostatnich czasach w Guyanie mówił mi wiele o panu i o pańskiem poświęceniu dla jego żony. Czy może chora, że nie przybyła osobiście?

— Nie, ale Francuzki nie tak łatwo puszczają się w podróż jak pańskie kompatryotki. Co więcej, list pański kilka dni błądził, zanim doszedł rąk pani Daugely. Otrzymała go dopiero wczoraj wieczorem i nie mogła wybrać się tak prędko. Prosiła mnie, bym ją zastąpił, więc nie mogłem odmówić.

Pewny siebie głos rzeźbiarza, jego wzrok czysty i oblicze uczciwe podobały się panu Clarksonowi, zresztą uprzedzonemu na jego korzyść przez Andrzeja.

Po krótkiej jeszcze rozmowie, Robert, otrzymawszy pieniądze, pożegnał pana Clarksona, następnie wyszedłszy na ulicę, odszukał najbliższy hotel, a ponieważ był strudzony podróżą, wcześnie udał się na spoczynek i przespał całą noc spokojnie.

Następnie wyszedł na miasto, kupił dla Teresy przyobiecany zamek do drzwi, a że do odejścia pociągu zostawało mu jeszcze kilka godzin czasu, zapragnął zwiedzić ważniejsze osobliwości Londynu.

Nie dawała mu tylko spokoju wielka suma pieniędzy, jaką miał zachowaną w kieszeni surduta, wiedział bowiem, że stolica angielska obfituje więcej niż inne wielkie miasta europejskie w bardzo zręcznych złodziei, obdzierających częstokroć w biały dzień na ulicy. Szedł więc skupiony w sobie, w paltocie zapiętym starannie, unikając jak zarazy wszelkich przechodniów, wydających mu się podejrzanymi.

Ale w takiej masie mijających ludzi, obdartych lub o twarzach zgłodniałych, trudno wyczytać z oczu przechodnia zamiary nieczyste.

Od chwili jednak, w której wyszedł z hotelu, Robertowi zdawało się, że śledzą go jakieś dwa indywidua, z których jeden najczęściej poprzedzał go, drugi postępował za nim.

Przeciągnął ręką po guzikach paletota dla przekonania się czy dobrze zapięty i szedł dalej, szukając restauracyi, w której mógłby zjeść śniadanie.

Gdy znalazł ją i posiliwszy się wyszedł na ulicę, zauważeni dwaj ludzie zatrzymali go przy samych drzwiach.

— Pan Robert? — zapytał jeden z nich po francusku.

— Tak, ja nim jestem — odrzekł. — Czego panowie chcą?

— Prosimy iść z nami.

— Jak to, nie wiedząc o co chodzi?

Ten, który przemówił do niego flegmatycznie, wyjął z kieszeni pugilares i wziął z niego papier.

— Mamy otrzymany z Francyi rozkaz aresztowania pana.

— A jeżeli ja na to się nie zgodzę? — odrzekł Robert, który, czując się w sumieniu spokojnym, nie przestraszył się wcale tej groźby. — Skąd ja mogę wiedzieć, czy nie jesteście zręcznymi rzezimieszkami, pragnącymi obedrzeć mnie?

— Możesz pan myśleć co mu się podoba, ale my, mając rozkaz, wykonamy go nawet siłą, jeżeli nie pójdziesz z nami dobrowolnie.

— Siłą? — odrzekł Robert — to znowu inna historya. Jest was dwóch przeciwko mnie jednemu, ale nie dacie mi rady.

— Mylisz się pan, nie dwóch nas, lecz za pięć minut będzie pięćdziesięciu; potrzebujemy tylko dać się poznać policyantom, stojącym co kilkanaście kroków na ulicy.

— Dobrze! wzywajcie ich, bo dobrowolnie nie pójdę, chyba pociągniecie mnie przemocą.

Nie długo trzeba było na to czekać. Podczas gdy jeden z agentów silnie ujął Roberta za rękę, drugi wydał jakiś okrzyk i podniósłszy do góry małą laskę, długą na jedną stopę może, czynił nią jakieś znaki. W tejże chwili rzeźbiarz, zanim zdołał zoryentować się, był już pochwycony, związany i ułożony w stojącym o kilka kroków powozie.

Wehikuł zatrzymał się na ulicy Bow-street przed jakimś domem ogromnym, pozbawionym wszelkich ozdób i mającym wygląd straszny.

— Co wy wyprawiacie ze mną? Czego wy chcecie odemnie? — zapytywał Robert w przejeździe wiozących go agentów, ale ci, jak gdyby byli niemi i głusi, nie zwracali nawet uwagi na jego pytania.

Natychmiast po przybyciu na miejsce wprowadzono go do gabinetu sędziego. W Anglii zresztą nie ma ani więzienia prewencyjnego, ani jakiejś tajemniczości, ani podstępów. Co mają do zarzucenia podejrzanemu, mówią mu wprost, bez tych pułapek i przebiegów, któremi najuczciwszy sędzia francuski otacza badanego.

Tuż obok sędziego siedział tłómacz.

— Jesteś pan oskarżony — odezwał się sędzia — o popełnienie w Paryżu morderstwa i rząd francuski domaga się wydania pana. Ale prawa angielskie osłaniają pańską wolność osobistą i nie dozwalają na wydanie, dopóki nie wykażą się dowody winy.

Robert odetchnął swobodnie, jak gdyby dotychczas obawiał się czegoś gorszego.

— Zaszedł tu jakiś błąd — odrzekł. — Wzięto mnie za kogo innego, łatwo mi będzie przekonać pana.

Urzędnik spojrzał na leżące przed nim papiery i rzekł:

— Robert, artysta rzeźbiarz, zamieszkały przy ulicy Clignancourt pod Nr. 204 ym.

Piorun, spadający u stóp biednego chłopca, nie wywarłby na nim takiego jak powyższe słowa, wrażenia. Źrenice jego rozszerzyły się, zbladł śmiertelnie.

— Ja! — zawołał — ja, mordercą!... Ależ to rzecz niemożliwa, panie sędzio.

— Tak jednak utrzymują — odrzekł urzędnik obojętnie.

— Kogóż ja miałem zamordować? — zapytał Robert. — Wyjechałem z Paryża w czwartek o północy, a dziś jest sobota.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: *Ludwik Masłowski.* — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodek.